TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 14. *Chicago, Ills., 1 Października, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 — 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

Ogarnięty tęskliwością, myślę ja sobie, że byłoby to obowiązkiem chrześciańskim, odwiedzić nieboraka w tak strasznym życia terminie i uweselić mu jako tako tę dobę krótką, co go od sądu Bożego dzieliła. Było to już późnym wieczorem, a było właśnie 23 grudnia, w wigilię Bożego Narodzenia. Biorę tedy klucze i latarkę i niby na ront nocny i dla inspekcyi straży się udając, otworzyłem areszt, gdzie nieszczęśliwy skazaniec w ciemności i samotnie był zamknięty.

Siedział w kącie więzienia na zydlu, oparł głowę na rękach i nie słyszał mnie wchodzącego, snać w smutnych i frasobliwych myślach pogrążony, aż kiedy światło w oczy mu uderzyło. Porwał się szybko z miejsca i jakoby senliwym wzrokiem spoglądawszy na mnie, napowrót usiadł.

Mówię ja tedy do niego po niemiecku:

— Panie oficerze! Jesteś Waćpan pod moją strażą i wiesz, jaki los cię czeka. Ale choć nieprzyjaciel, jako oficer i kawaler mam sobie

za obowiązek, oddać się Waćpanu na usługi i zapytać go, ażali czego nie potrzebujesz? Muszę pełnić moją służbę, wszak ją znasz Waćpan, bo sam służyłeś wojskowo. Czego regulament zakazuje, tego Waćpan odemnie wymagać nie będziesz, ale co w mojej mocy a nie przeciw prawu, tego Waćpan, panie oficerze wymagaj!

— Dziękuję ci, mości oficerze — rzecze on na to — snać dobre masz serce, za które niechaj Bóg ci płaci. Żądam tylko światła, papieru i pióra, bo wybierając się z tego świata chciałbym się listownie pożegnać z osobami, które mi były najmilsze na ziemi.

Kazałem zaraz przynieść ordynansowi światło, papier i inkaust, a gdy spełnił mój rozkaz, tak znowu rzekłem do więźnia:

— Bądź Waćpan dobrej myśli, bo jeszcze jenerał nie konfirmował wyroku. Nie radzę ja Waćpanu łudzić się płochą nadzieją, ale zawsze kto to wie, czy się los nie zmieni. Jeżeli Waćpanu to nie będzie dolegliwem, abym tu został i szczerej kompanii mu dotrzymywał, to się mu chętnie ofiaruję.

Rotnicki wdzięcznem sercem przyjął moją propozycyę. Był blady i smutny, ale spokojny, i widać mu było z oczu, że się śmierci nie boi. Zapytałem go (mówiąc ciągle po niemiecku, bo wstyd mi jakoś było przyznawać się żem Polak) z jakich okolic jest Rzeczypospolitej? Odpowiedział mi na to, że pochodzi z Sandomirskiego, gdzie rodzice jego do zamożnej należą szlachty, że cała familia jego oddawna była oddaną dynastyi saskiej, że stryj, który jest jenerałlejtnantem w służbie tego kraju, wziął go z sobą do Drezna i patent na oficera wyrobił. Rotnicki przebywał kampanię ostatnią, a wziąwszy przed miesiącem urlop, chciał z regimentu swego najkrótszą drogą dostać się do Polski, ale schwytany przez pruskie forpoczty, fałszywie posądzony został o szpiegostwo i za to niewinnie ginąć musi. Wysłuchawszy tej opowieści, która mi serce krajała, wdałem się z nim w dalszą rozmowę, chcąc go pocieszyć, ile to w mojej mocy było — a im dłużej z nim rozmawiałem, tem bardziej żałość mnie ogarniała na widok nieszczęśliwego jeńca. Mimo tę rzewność moją, co mi rozpierała serce, nie zdradziłem się ani słówkiem, jako Polak jestem i katolik.

Naraz mówi on do mnie:

— Panie oficerze, jeśli wola, zostań tu i dalej, ale dyskurs nasz urwać chyba trzeba, bo pomodlić się muszę. Mam do śmierci dobę tylko jeszcze; czas najwyższy pojednać się z Bogiem i grzesznej duszy ułatwić rozstanie z tem wszystkiem, co tu miłowała na ziemi!...

Na te słowa chciałem wyjść, ale coś mnie dziwnie trzymało na miejscu... Chciałem już całą noc dotrzymać towarzystwa Rotnickiemu. Cofnąłem się w drugi kąt izby i usiadłem. On zaś tymczasem wydobył z pod sukni ryngraf z wizerunkiem Najświętszej Panienki, ucałował go, postawił przed sobą na zydlu i ukląkłszy kornie, żarliwie i gorąco modlić się począł.

Na ten widok niewysłowiona żałość mnie porwała... Ośm lat minęło, jak sam nigdy prawie się nie modliłem, jak nie westchnąłem nawet do Matki Bożej, Królowej Polski. Ozwała się nagle we mnie stara wiara, w której urodziłem się i wzrosłem, przypomniały się z dziwną jakąś siłą modlitwy, których matka mnie droga uczyła, gdym był jeszcze dobrym — i cały affekt ten religijny, który gorzał w młodem sercu, na nowo duszę mi do głębi ogrzał, wyjaśnił i rozrzewnił.

Nie mogłem wstrzymać się już dłużej i płakać począłem jak dziecko, a rzuciwszy się na kolana, od długiego czasu pierwszy raz ze skruchą serdeczną modlić się począłem. Musiałem w tem rozczuleniu mojem i płaczu głośno zaszlochać, bo Rotnicki oglądnął się, a ujrzawszy mnie w tak kornej modlitwie, zbliżył się do mnie i tak się ozwał:

— Widzę, żeś Waćpan nabożny, i towarzyszysz mi w modłach moich. To mnie ośmiela, panie oficerze, prosić cię o zrobienie mi ważnej przysługi, której nie możesz odmówić człowiekowi, który tak jak ja, już jest *in articulo mortis*. Nie chcę umierać bez pocieszenia kapłańskiego, proszę cię tedy, abyś mi przywołał księdza, bom katolik i po katolicku umrzeć pragnę.

Ścisnąłem go tylko za rękę, na znak że jego wola jest mi rozkazem i wybiegłem. Rozesłałem po miasteczku żołnierzy, by się wypytali, czy nie ma gdzie księdza. Ale było to w okolicy przez samych protestantów zamieszkałej, a najbliższy ksiądz katolicki, znajdował się po stronie polskiej, już w granicach Rzeczypospolitej. Polem i manowcami, nietrzymając się zwykłej drogi, za półtorej godziny można się było dostać do owej wioski polskiej.

Była to druga godzina po północy. Nie

myśląc wiele kazałem sobie dać dobrą informacyę i rezolwowałem się sam jechać po księdza. Poleciwszy strzedz więźnia czujnie szyldwachom, kazałem wsiąść dwom dragonom na koń, trzeciego konia luzem przytroczyć dla księdza, i z takim pocztem sam galopem co koń wyskoczy ruszyłem za polską granicę, chcąc się sprawić szybko, aby przypadkiem ktoś z starszyzny nie zmiarkował, żem na hauptwachu nie obecny.

Po jednogodzinnej ostrej jeździe, stanęliśmy w wskazanej nam wiosce polskiej, a wziąwszy pierwszego lepszego chłopa z chaty, kazaliśmy się prowadzić na probostwo. Kazałem zsiąść jednemu dragonowi z konia i pójść za sobą do pomieszkania księdza. Zastukałem silnie do drzwi, a gdy nam otworzył zaspany i wystraszony widokiem zbrojnych ludzi pachołek, krzyknąłem nań ostrym tonem, aby nas zawiódł do księdza.

Zastałem poważnego staruszka, który na odgłos naszych ostróg i szabel zbudził się już był ze snu i zapalił światło. Spieszno mi było bardzo; zdawało mi się, że mi się pod stopami pali; bo mnie strach zbierał na myśl, że pułkownik może się dowiedzieć, jakom straże opuścił; — to też nie tłumacząc księdzu, o co rzecz idzie, i dla czego go potrzebuję, każę mu surowym głosem wstawać i ubierać się natychmiast. Mówiąc do niego, udawałem umyślnie Niemca, który tylko łamanym językiem po polsku mówi.

Ksiądz widząc przed sobą dwóch żołnierzy, przerażony tym nocnym napadem, począł się zaraz ubierać, a ja dając rozmaite oznaki niecierpliwości, nagliłem do pospiechu. Widząc, że się już ubrał, chwyciłem duże futro, które wisiało w izbie, i zarzucając je księdzu na ramiona, porwałem go za rękę, ciągnąc szybko za sobą i nie odpowiadając już ani słówkiem na jego pytania. Nim się porwany w ten sposób staruszek opamiętał ze zdumienia i trwogi, już go dragoni posadzili na siodło, i biorąc go między siebie, pognali co konie wyskoczyć mogły za mną przez pola.

Wyjeżdżaliśmy już ze wsi, gdy ujrzałem naprzeciw siebie jakiegoś jeźdźca. Noc była bardzo jasna i pogodna, więc rozeznałem młodego człowieka, ubranego w burkę ciemną i w karmazynową z kitą, jak to nosiła komputowa kawalerya polska. Jechał na pięknym koniu a wyglądał dzielnie i dorodnie. Gdyśmy się zbliżyli, on zatrzymał konia i przypatrywać się nam bacznie począł. Snać poznał mundury pruskie i czegoś niedobrego się domyślał, bo nagle wysunął się naprzód i przykładając rękę do furdymentu szabli, zawołał głośno:

— Stój! kto jedzie!?

Na to ksiądz odezwał się nagle z pośród dragonów:

— Ratuj kto może!

Ledwie ów człowiek te słowa usłyszał, kiedy wyrwawszy szablę z pochwy odważnie i z impetem ku nam się zwrócił. Widząc że będę miał przygodę, każę ja moim dragonom pędzić dalej z księdzem ku granicy, a sam podjeżdżam do owego junaka i wołam nań po niemiecku:

— Z drogi! bo po łbie weźmiesz.

Dragoni pomknęli szybko jak wicher z księdzem, a mój młody junak tymczasem sadzi wprost na mnie i woła:

— Hola panie Niemiec! co to za gwałt na terrytoryum Rzeczypospolitej! Aresztuję Waćpana!

I nuż się złoży na mnie szablą i natrze tak siarczyście, że gdybym był w tej chwili nie podchwycił cięcia, byłby mnie z konia zsadził. Nie na rękę mi była awantura, bo jak już powiedziałem, paliło mi się pod stopami od pospiechu, chciałem tedy umknąć się na bok po tem pierwszem starciu i nie dać śmiałkowi okazyi; ale on przyciera mnie po raz drugi i tym razem tnie tak zamaszyście po kapeluszu, że omal mi głowy nie rozpłatał.

Widzę, że gracz, i że mnie tak lekko nie puści, ale i ja też nie fryc byłem na szable. Nie chcąc go jednak ranić, opędzam się tylko od jego gęstych i zamaszystych razów i odsadzam się bokiem, aby umknąć, zostawiwszy pana rycerza w czystem polu. Tymczasem trudna sprawa; pozbyć go się ani daj Boże! Daję nareszcie koniowi ostrogi, sadzę nań niby z okrutnym impetem, a gdy on z przyjęciem mnie czeka, ja go mijam i dalej w pole. Snać rozgniewało to do żywego młokosa, bo puścił się za mną i wołać począł:

— Poczekajże ty szołdro pruski! Takiś ty żołnierz! uciekać umiesz tylko, heretycki oberwańcze!

Na takie *dictum acerbum* odezwała się krew we mnie; zapomniałem o *hauptwachu* i zaniedbanej służbie; i rozgniewany do żywego zwracam konia do napastnika. Kiedy ci się zachciało okazyi — myślę sobie — to ją znajdziesz; po-

czekaj młokosie! Złożyliśmy się teraz na prawdę, a już gniewny nacieram na niego z impetem. Dobrze się bił młodzieniaszek i hardo się stawił, ale poznałem zaraz, że słabszy odemnie. Ochłódłem też po pierwszym ferworze i już nie godziłem na jego życie, tak jak to w pierwszej pasyi uczynić już byłem gotów, ale zażywając osobnego szermierskiego fortelu, w którym mi nikt w całym pułku nie sprostał, wyrzuciłem mu szablę z ręki, że aż gwizdnęła w powietrzu lecąc na ziemię. Chłopak nie stracił fantazyi, lecz kładąc się szybko na koniu, odkrył olstry i sięgnął po pistolet, ale ja tymczasem odsadziłem się już na kilkadziesiąt kroków od niego i szalonym galopem pędziłem ku granicy. Strzelił za mną niecnota, ale chybił, i na tem się skończyła ta mała przygoda.

Wkrótce stanąłem na odwachu, gdzie się dowiedziałem z pociechą, że nikt mojej nieobecności nie zmiarkował. Ksiądz, z którym dragoni jeszcze przed kwadransem przybyli, czekał już w kordegardzie, niepewny swego losu. Odetchnąwszy po forsownej jeździe, zaprowadziłem księdza do mego więźnia i zostawiłem ich samych. Dwie godziny minęło, a Rotnicki księdza od siebie nie puszczał; aż dopiero na doświtku dał mi znać żołnierz, że proszą, abym otworzył. Wypuściłem staruszka z celi, i widziałem, jak na jego poważnej twarzy malowały się żałość i smutek. Przystąpiłem do zacnego kapłana, którego w pospiechu trwogi i niepokoju nabawiłem, i ucałowałem go w rękę, chcąc go przeprosić za doznaną przykrość. Dałem mu żołnierza, aby mu w miasteczku podwodę wyszukał do powrotu, a sam poszedłem do mego pokoju, i w dziwnym smutku siedziałem, bo mi ten biedny Rotnicki, czekający konfirmacyi wyroku, z głowy i serca jakoś ustąpić nie chciał. Miało się już ku południowi, a jam jeszcze chodził po kwaterze wśród takich tęskliwych myśli, kiedy dał mi znać jeden z żołnierzy, że mój jeniec koniecznie pragnie mnie widzieć, i że uprasza mocno, abym przyszedł do więzienia. Nie dałem sobie tego dwa razy mówić, ale zaraz udałem się do jeńca. Rotnicki, obaczywszy mnie, porwał się z ławki, przystąpił do mnie, a ująwszy mnie za rękę, dziwnym jakimś wzrokiem w oczy mi popatrzył, jakoby chciał przeniknąć aż do duszy, i gdzieś aż do samej głębiny serca przemówić.

Ja spuściłem oczy, bo mi się jakoś przykro robiło pod tem spojrzeniem, takiem nieśmiałem a pytającem, że aż za serce chwytało... On także milczał chwilę dobrą, aż nagle, jakby się zebrał na odwagę, tak do mnie rzecze:

— Panie oficerze, dałeś mi Waćpan już jeden dowód twojej dobroci, za który przyjm zapewnienie wdzięcznego affektu... Widzę ja, że Waćpan choć żołnierz i nieprzyjaciel, masz serce dobre, i żeś mi chciał osłodzić według mocy te gorzkie, bo co wiedzieć? azali nie ostatnie dni mego żywota. Ale widzę, żeś zafrasowany i smętny, panie oficerze, powiedzże otwarcie, czy może już nadeszła konfirmacya mego wyroku?... Powiedz, a zaraz i śmiało, wszak tu żołnierz z żołnierzem mówi, a śmierć to nasza dobra znajoma...

— Konfirmacyi nie ma jeszcze — ozwę się na to — i mam to sobie za dobrą wróżbę, że jeszcze nie nadeszła, bo teraz to już łatwo stać się może, że Waćpana pardonować będą.

— Bóg to widzi — mówił dalej Rotnicki — że mi nigdy śmierć nie była straszną, ale widzisz panie oficerze, między śmiercią bywa duża różnica. Bijałem ja się z wami nie raz i nie dwa razy; byłem w batalii niejednej; a gdy w żyłach krew zawrzała, to się nie pamiętało o kulach. Tak wśród boju, z szablą w ręku, z rycerskim animuszem, paść na placu, to śmierć piękna szlachcicowi; ale zginąć jak zbrodzień, dać siebie zastrzelić jak psa, i to w młodym wieku, to rzecz inna, i nie będziesz się Waćpan dziwował, że biednemu sercu srodze markotno i rzewnie żegnać się ze światem.

Ja na to nic nie odpowiedziałem, ale żałość zdjęła mnie jeszcze większa, i jeno ściskałem rękę Rotnickiego.

— Ale ja tu Waćpana nie na to prosił — mówił dalej Rotnicki — abym mu żale rozwodził moim lamentem. Doznałem od Waćpana dobroci; i to mnie skłania, że go jeszcze o jedną łaskę prosić będę; ale nie śmię, boję się nawet, bo jak Waćpan odmówisz, biednej mej duszy jeszcze żałośniej będzie w tym ciężkim terminie...

— Proszę mówić śmiało — odpowiedziałem — i ufać moim przyjaźnym usługom. Uczynię wszystko, czego Waćpan żądać będziesz, a ja uczynić będę mógł z dobrem oficerskiem sumieniem.

— Choćby to nawet było przeciw regulamentom? — poderwał Rotnicki.

Zawachałem się na takową interogacyę i milczałem przez chwilę.

— W regulamentach różne bywają rygory — odpowiadam mu nareszcie — czasem człowiek oko jedno przymknąć może, oboma dobrze czuwać trzeba, aby nie zaryzykować gardła... Nie potrzebuję ja, zda się, mówić o tem Waćpanu, boś taki żołnierz jak ja, i oficer. Sztrofu małego się nie boję; a regulament już dziś w nocy złamałem, bom się z hauptwachu oddalił bez permisyi i raportu. Słucham Waćpana, ale z taką nieśmiałością, z jaką mnie Waćpan prosisz, bo ja biedny żołnierz jestem, z żołdu żyję, a ten złoty bandolet i te kordonki oficerskie, to Bóg widzi, i cała fortuna moja i cała przyszłość. Serce rade by niejedno, ale służba służbą, a w regularmentach o sercu nie ma mowy.... Mów tedy Waćpan za wolą Bożą, co będę mógł, to zrobię, a jak odmówię, to mi wierzaj, że to nie z braku ludzkości, ale z musu czynię.

Rotnicki wysłuchał słów moich nie odwracając odemnie oka i nie wypuszczając mojej ręki z dłoni, a naraz tak się odezwał:

— Panie oficerze, powiedz mi Waćpan, czy kochasz lub kochałeś kiedy?.... Ale nie mówię tu ani o ojcu, ani o matce, ani o rodzeństwie, bo o takie wrodzone ludzkiej naturze affekta pytać się nie potrzeba....

Tak mnie pytaniem z obcesa zagadnął, żem nie wiedział, co mam odpowiedzieć, i patrzyłem na Rotnickiego w milczeniu, jakbym słów jego nie rozumiał. On zaś tymczasem tak dalej mówił:

— Jeżeli Waćpan kiedy czułeś, co to jest miłość prawdziwa, serdeczna, do kobiety którą ci jakoby Bóg przysądził; jak ci to ona całą duszę opanuje i całem sercem zawładnie, że już nic droższego nie masz na ziemi, nad ową jedną dziewczynę — jeżeliś Waćpan tego doświadczał kiedy, to się ośmielę z mą prośbą, a jeźli nie, to mi wybacz, ale już milczeć wolę, niż darmo mówić, bo mnie chyba nie pożałujesz i nie zrozumiesz nigdy....

Skończywszy tę swoją mowę, a wiedzieć trzeba, że tę rzecz o miłości wywiódł tak pięknie i czule, iż mi tego ani powtórzyć choćby w zbliżeniu — umikł, i jeszcze przenikliwiej w oczy mi popatrzył. Skonsternował mnie nie pomalu Rotnicki; stałem jak malowany, i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Człowiek zardzewiał w tem wojsku pruskiem, zdziczał na wojnie i w ustawicznym kampamencie; o miłosnych sentymentach sercu się i nie śniło, a o romansach żołnierskich już chyba nie wspominaj! Czasem tam jakieś piękne oczęta zagadały do biednego żołnierza, zaglądnęły głęboko, aż na dno serca, i tęskno się robiło wtedy i rzewnie, i już się nieraz dusza wyraźnie rwała do owych cząt, a myśli dziwnie się marzyły o jakiemś szczęściu nieznanem — ale trąbka zagrała na apel, zawono *M rsch! Marsch!* i ot zostały za górami i lasami: i oczy piękne i budzący się affekt, i marzenie serdeczne, a człowiek szedł dalej za komendą i za twardą dolą żołnierską.... Ale to nie była miłość, jeno jej pożądanie jakoweś tęskne a niewyraźne. Mimo to umiałem uczuć to, co mówił Rotnicki, i odpowiedziałem:

— Mów Waćpan, o co idzie, a może ja potrafię wyrozumieć szlachetność jego affektu....

— Boję się tylko, panie oficerze — rzecze tedy Rotnicki — ażebyś tego nie wziął za romansową płochość, i jako stateczny człowiek nie zganił mi tego w tej chwili, w której się znajduję. Przyjdzie konfirmacya, czy nie przyjdzie w ręku to Bozkiem, ale zawsze już mi lepiej o śmierci myśleć niż na łaskę się spuszczać. Z łaski Waćpana otrzymałem pocieszenie kapłańskie, a jeźli na to przyjdzie, aby już ginąć koniecznie, to ufam Bogu, że nie będę truchłał przed waszemi muszkietami, ale mężnie to przeniosę z potrójnej racyi: żem katolik, żołnierz i szlachcic. Owo nie myśl Waćpan, że sobie lekkomyślnie i płocho poczynam. Pożegnałem ja się już ze wszystkiem, co mam na ziemi, a nie wstyd mi to wyznać, że mnie ta smętna waleta siła kosztuje, i że serce żałością wielką mi się krwawi. Ale niechajże będzie, jako wola Boża chce.

Ja mu nie przerywałem, ale milcząc słuchałem z rzewnością w duszy, ściskając mu tylko rękę, on zaś tak dalej mi mówił:

— Wierzajże mi panie bracie i kolego, a tak cię nazwać się godzi, choć inny mundur nosisz i adwersarzem jesteś, boś szlachetny kawaler; wierzaj mi, że już się jako tako zrezolwowałem na śmierć, i pewniebym ciebie o nic już nie prosił, gdyby nie dziwny zbieg losu czyli raczej wola Opatrzności. Musisz wiedzieć panie oficerze, że miłuję nad życie pannę jedną zacnego domu, a miłuję ją kochaniem uczciwem

i serdecznem, o! tak serdecznem i głębokiem, że kiedy wszystko, co ziemskie było umiałem pożegnać, z tym affektem rozestać mi się nie podobna. Na świecie go nie zostawię, z duszą się on rwie, i śmierć go odebrać nie może. Spieszyłem do Polski, aby obaczyć i poślubić niebogę, kiedy mnie owo ta ciężka przygoda spotkała. Gdybyś ją kiedy widział i znał, panie oficerze, łacnobyś ty zrozumiał, czemu mi pamięć tej dziewczyny nawet i śmierć sama zasłania. Ale byłbym i to przeniósł przy pomocy Bożej, gdyby nie taka dziwna konstellacya. Gdy mnie schwytano przekradającego się przez wasze linie, nie wiedziałem nawet w jakiej okolicy się znajduję i czy niedaleko jestem od granic polskich. A musisz wiedzieć że ta biedna panienka moja mieszka dwie mile tylko od granicy szlązkiej, we włości swoich rodziców, która się zwie Zadębie. Owoż słuchaj mnie, panie oficerze, czy wiesz zkąd mi przywiózłeś księdza?

Popatrzyłem się z zadziwieniem na Rotnickiego.

— Oto z Zadębia to był proboszcz, z tej samej wsi, gdzie najmilsza moja dzieweczka przebywa! Pytałem go się, co słychać tam we dworze, a on mi odpowiedział, jako mnie tam czekają od dawna, i jako panna moja od tęsknoty marnieje, gorzko się frasując mojem opóźnieniem. Próżno mnie czękać będzie, nieboga, próżno będzie rączki łamać, jedyna sercem umiłowana moja panienka! Ani ona przeczuwa, nieszczęsna, co mi tu wola Boża sądzi!

Słowa te mówił Rotnicki z taką żałością i z takim affektem gorącym, że mi się serce padało od litości. Chciałem go pocieszyć, ale nie umiałem, bom nigdy niewymowny, kiedy mi coś w sercu przebiera.

Jeszczem nie skończył moich słów, któremi mu otuchy dodać chciałem, gdy on naraz tak do mnie z impetem zawoła:

— Panie oficerze! Ja się z nią muszę widzieć, nim mnie tu zastrzelicie!

Na takie *dictum* gwałtowne stanąłem jak skamieniały. Co począć i jak tu odpowiedzieć biednemu szaleńcowi? Milczę tedy jak niemy, a on chwyta mię za ramię i woła:

— Czyś słyszał Mości oficerze? Ja muszę się z nią widzieć raz jeszcze!

Mówię ja tedy smutno i łagodnie:

— Słyszę ja to dobrze i w sercu to mojem rozumię, ale zreflektujże się kochany panie....

Nie dał mi skończyć nawet.

— Człowieku, toż ty masz serce przecie! — zawołał. — Nie odmawiajże mi tego, na Boga cię zaklinam, i na ten twój affekt, który ci był kiedy najmilszym w życiu! Nie, panie kawalerze, już ty mi tego nie odmówisz, już ja to po twojej szlachetności widzę, że pofolgujesz mej prośbie! Wyjdę cało i z pardonem, to cię wynagrodzę, bom bogaty. Wszystko ci dam, co posiadam; w jednej koszuli zostanę. Nie wyjdę z życiem, toś ty mój dziedzic, i wszystko twoje po mojej śmierci!...

Zalterował mnie takiemi słowy i zadrasnął ambicyę moją, więc mu na to odpowiedziałem:

— Biedny jestem, to prawda, a cała moja fortuna z chudego żołdu się składa, ale jam oficer i szlachcic, taki dobry jak kto inny, i nie przekupisz mnie Waćpan! Nie wiesz Waćpan w swej żałości, co mi proponujesz i jako mój honor oficerski na szwank narażasz! Ja mu to wybaczam chętnie, ale już słuchać tego dalej nie chcę.

Zacznie on mnie dopiero przepraszać, a eksplikować, a kląć się; jako najmniejszej złej myśli nie miał.

— Panie oficerze — tak rzecze — nie chcę ja tego, byś ty mnie puścił lub za pieniądze uciec dozwolił. O to Waćpana nie prosiłem, bo twojej zguby nie chcę. Ale zróbże mi to, abym z tobą na godzinkę malutką do Zadębia pojechał, a daję ci słowo szlacheckie i oficerskie, że ci nie ucieknę i powrócę tu z tobą nazad. Niechaj ją raz jeszcze obaczę tylko, a lżej mi umierać będzie.

Pomyślałem chwilę i rzekłem:

— Czy Waćpan dajesz mi istotnie parol oficerski na to?

— Daję i przysięgam, aby mi tak Bóg dopomógł w ostatniej godzinie!

— Przysięgi nie wymagam, bo słowo szlacheckie i oficerskie mi starczy. Dajże mi Waćpan parol honorowy: *primo:* że tylko godzinę w Zadębiu zabawisz, *secundo*: że powrócisz na każde zawołanie moje tu na hauptwachu; *tertio*: że ani wspomnisz twej pannie lub jej rodzicom, jaki cię los spotkał, jeno po prostu opowiesz, żeś zwykły jeniec wojenny i że ci dano permisyę na jedną godzinę pod zaręczeniem honorowem.

— Daję parol na wszystko! — zawołał Rotnicki.

— Niechajże i tak będzie, jako chcesz, ale namyśleć się nad tem dobrze potrzebuję, jakby się z tem wszystkiem zręcznie i ostróżnie sprawić. Dajże mi Waćpan czas do namysłu.

Począłem tedy przechadzać się po izbie więziennej i dumać. Przychodziły rozmaite myśli, i straszno mi się robiło mego przyrzeczenia. Wspomniałem na rygor wojskowy, na pana graffa Koggeritza, na surową karę, bo nawet na sromotną degradacyę i krygsrecht, które mnie czekają, jak mi ta sprawka krzywo pójdzie. A tu znowu z drugiej strony serce mówi inaczej, i coś mi tak dziwnie szepta w duszy, abym pofolgował prośbie i jakiem już przyrzekł, tak też i zrobił, że mnie już nie straszył ani regulament. Chodzę tak i chodzę, dumam i dumam, ani naprzód ani nazad; a tu mój Rotnicki oka ze mnie nie zwraca, a wciąż patrzy jak w tęczę, jakby chciał wyczytać z twarzy, co mi się w duszy gotuje.

— Ha, niechaj się dzieje wola Boża! — pomyślałem nareszcie — przypłacę za to własną skórą, to przypłacę; dam gardło, no to i tak raz mi je położyć trzeba; ale już ja jemu tego odmówić nie mogę i nie odmówię.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

KROLOWA SOW.

(Dokończenie.)

Bogusław uczynił jak mu kazano, i w kilku chwilach znajdował się w ogrodzie Baszy, który był grubym murem otoczony. Sowa zapukała dzióbem we fórtkę żelazną, a ta otworzyła się sama przez się i zamknęła się znowu, gdy Bogusław wyszedł z ogrodu. Basza i goście zdziwieni długą nieobecnością zwycięzcy, posłali po niego. Na wieść, iż go nie znaleziono, zawołali wszyscy jednogłośnie: „Dalej w pogoń za tym psem niewiernym. Sztylet zaczarowany musi wrócić w ręce nasze."

Ciemno było bardzo tej nocy. Musiano ścigać przy świetle pochodni uciekającego Bogusława. Rozesłano gońców na wszystkie strony i obiecano niezmierne nagrody temu, kto go żywcem lub trupem dostawi.

Basza sam nawet udał się w pogoń za nim. Bogusław uciekał przez pole, na którem nigdzie ukryć się nie mógł. Usłyszawszy tentent koni, rzucił się na ziemię w bujną trawę. Leżąc tak, widział Turków pędzących na oślep tuż około siebie. Lecz teraz przybył sam basza z licznym orszakiem; nie było podobno uciekać. Bogusław wyciągnął miecz z pochwy i bronił się nacierającym Turkom, w czem mu sowa dzielnie dopomagała, dzióbiąc ich ostrym dzióbem po twarzy i oczach. Wielu nieprzyjaciół leżało już pobitych na ziemi, lecz ich liczba była zbyt wielką, i coraz to świeże nadchodziły hufce. Nieśmiertelny przez siłę zdobytego sztyletu, osłabł jednakże zbyt długim bojem. Już mordercza ręka schwyciła zaczarowaną broń, by mu ją wydrzeć, gdy w tem powietrze zadrżało od krzyku „huhu!" który z tysiąca sowich gardzieli wychodzić się zdawał. Mnóstwo kamieni sypało się na nieprzyjaciół, a powiew skrzydeł zlatujących się sów zagasił wszystkie pochodnie. Bogusław zebrał resztę sił i uciekał osłoniony cieniami nocy. Sowa prowadziła go przez pola i lasy i dostała się z nim wkrótce do granicy. Tutaj dwie sowy przyleciały na jego spotkanie i postawiły przed nim koszyczek z żywnością. Posilił się z wielkim apetytem, a na spodzie znalazł duży worek pieniędzy, co go nie mało ucieszyło.

W pierwszem lepszem miasteczku kupił so-

bie konia, na którym zajechał zdrowo i szczęśliwie do boru przemienionych w sowy księżniczek. Kamień pod dębem został odwalony, a przyszedłszy po marmurowych schodach do znajomego mu salonu, znalazł tam z wielkiem podziwieniem ośm pań siedzących u zastawionego stołu. Powitały go bardzo uprzejmie i prosiły by zasiadł z niemi. Bogusław oddał im tak gorąco upragniony sztylet, za co mu podziękowały serdecznie.

Podczas obiadu Bogusław był bardzo smutny, i ciężkie westchnienia wydzierały się z jego piersi.

— Czego się smucisz szlachetny człowieku? — zapytała go sów królowa. — Zmieniłeś w radość długie nasze cierpienia, a sam wzdychasz i troszczyć się zdajesz. Odkryj nam co cię dolega, a my ci dopomożemy!

Bogusław opowiedział jej wszystko. Najprzód swój sen, w którym po raz pierwszy ujrzał królowę sów, piękną hrabiankę i Urszulę, potem jak za namową krewnych opuścił haniebnie ukochaną żonę. Lecz dodał: — Później przekonałem się, jak złem i nieczułem było serce moje! Odtąd nie miałem spokojnej chwili. Nigdzie nie znałem szczerości i cnoty, nigdzie nie widziałem podobnej do Urszuli niewiasty. O żono, ukochana Urszulo! muszę cię znaleźć, choćbym cię po całym świecie miał szukać. A potem śmierć tylko rozłączyć mnie zdoła od ciebie!

Gdy tych słów domawiał podniosła się zielona zasłona, i Urszula stanęła przed nim. Serdecznem uścińieniem powitał ukochaną żonę; a łzy, które oblewały jego lica, okazywały, jak szczerą była jego radość i skrucha.

— Teraz kolej na mnie, — ozwała się jakaś staruszka, na którą Bogusław nie zważał dotąd. — Moje córki musiały zająć się twym losem, ponieważ byłeś wybrany do ich wybawienia. Dla tego przyjęły twą żonę, gdy ją wygnałeś od siebie. Pod ich opieką była szczęśliwą i spokojną. Ja przybyłam tutaj, by moje córki uwolnić, bo upłynął czas ich zasłużonej kary. Urszulę mianuję dziedziczką wszystkich kosztowności naszych, które się znajdują za tą zieloną zasłoną w srebrnej urnie. Pójdziecie dzieci moje — rzekła obracając się do ośmiu sów. — Lećcie ze mną na jasną gwiazdę, która nam odtąd za mieszkanie służyć będzie!

Jedna po drugiej musiała uklęknąć przed nią; ona dotknęła sztyletem ich czoła i ośm czarnych trumien ukazało się z pod ziemi, które przyjęły nieżywe ciało ośmiu córek. Urszula i Bogusław stali przerażeni tym widokiem, ale stara księżna oddała im srebrną urnę i wyprowadziła ich na powierzchnią ziemi. Kamień upadł na wchód, a pnące się po nim rośliny uczyniły to miejsce do niepoznania. Księżna stała nieporuszona, pogrążona w zamyśleniu. Nastąpiło głębokie milczenie. Małżonkowie podziwiali niezmierne skarby, które teraz były ich własnością i wynosiły sto razy więcej, niż Bogusław niegdyś posiadał. Lecz czuli się tak przejęci ważnością tej chwili, iż nie mogli wielkiej kłaść wagi na dobra ziemskie.

Księżna pomodliwszy się chwil kilka, schyliła się ku ziemi, zrobiła na niej sztyletem wielkie koło około małżonków i rzekła:

— Zostańcie spokojnie na miejscu i nie troszczcie się, jak dalszą odprawiać macie podróż. Przyjaciele mych córek poprowadzą was i dopełnią waszego szczęścia.

Teraz rozstąpiła się ziemia w miejscu, gdzie było koło zrobione sztyletem, i siedm karłów z długiemi białemi brodami wyskoczyło z pod ziemi, pokłonili się nizko przed księżną i oznajmili jej, iż wszystko jest w pogotowiu. Ta przycisnęła sztylet mocno do piersi, uklękła, a mglista powłoka zakryła ją przed oczyma otaczających ją osób. Karły obwinęli teraz swe długie brody około ręki, zaczęli tupać nogami i w mgnieniu oka wpadli małżonkowie głęboko pod ziemię. Krótki czas tylko znajdowali się w ciemności. Potem ujrzeli nad sobą ogniste sklepienie, które nie było nic innego jak okrąg ziemi, świecący wewnątrz podobnie do zorzy północnej, i tak jasno, iż mało się różnił od światła dziennego. W tem tylko zachodziła różnica, iż wszystko zdawało się być w różannym kolorze i każdy przedmiot był ze wszech stron równo oświecony.

Podróż odprawiała się wprawdzie zwolna, ale bez przerwy. Siedząc na miękkiej murawie Bogusław i Urszula jechali, nieznaną siłą wiedzeni, przez państwo karłów.

Śliczne krajobrazy z kryształowemi górami, które przeplatane były górami ze złota i srebra. przedstawiały się zdziwionym oczom wędrowców. Mogli wprawdzie tylko w przelocie przypatrywać się temu, jednakże byli bardzo blizko przy urodzajnych łanach i łąkach tej podziemnej krai-

ny, na których żółto-zielone drzewa i rośliny w rozmaitych ukazywały się kształtach. Niezmierne gromady karłów zbiegały się zewsząd, by się przypatrywać tak rzadkim u nich gościom, i witali ich radosnemi okrzykami, które zupełnie były podobne do grzegotania żabiego. Mężczyźni tych podziemnych krain mieli na sobie czerwone ubiory, po których złote prążki i gzygzaczki się ciągnęły; głowy ich pokryte były czarnemi czapeczkami. Kobiety miały białe lub niebieskie spódniczki i czarne aksamitne gorsety, spinane na złote lub srebrne klamry. Włosy ich były kunsztownie uplecione i ozdobione perłami i drogiemi kamieniami. Po kilkagodzinnej podróży ściemniało się powoli. Gruba powłoka ziemi, która dotąd świeciła, niby jasne płomienie, stała się szarą jak popiół i otworzyła się przed niemi. Uczuli znów orzeźwiające powietrze naszej atmosfery, i ujrzeli się w ślicznym ogrodzie. Bogusław musiał pozostać tutaj, lecz Urszulę zaprowadziły karzełki do poblizkiego pałacu. Właśnie dnieć zaczynało; psy dworowe umilkły na widok karzełków; kogutowi zamarło pianie w gardzieli. Wszystko zresztą było w głębokim śnie pogrążone, a drzwi otwierały się same przez się karzełkom. Cichutko wprowadziły małe pokraki zdziwioną Urszulę do sypialni przed łóżko, które było osłonione karmazynową i adamaszkową kotarą. Dwa karzełki wskrobały się zręcznie do góry i rozsunęły firanki. Tutaj leżała we śnie pogrążona śliczna pani i tak przez sen mówiła: „O matko, czemuż niepozostałaś z nami w Warszawie! Wszyscy obchodzą tam dziś jeszcze popielec, my tylko sami jedziemy przez ten las ciemny, ścigani gromadą wilków. Ojcze, ojcze! patrz, oto trzech wilków koniom drogę zabiega. Biada nam! już spinają się do sanek. Ojciec zastrzelił jednego. Janie, Stanisławie! ratujcie bliźnięta!. Moje kochane siostrzyczki! Straszliwe zwierzęta już je schwyciły. O Boże, Maziu! Aneczko! Matka rzuca się na wilka i wydziera mu z paszczy Aneczkę. Ale Marynia? Wilk ucieka z nią daleko! Ojciec i słudzy nie mogą go dogonić. Wilk już pożarł biedną dziecinę. O Boże, zmysły mi się mięszają!"

Umilkła na chwilę, gorzka boleść twarz jej skrzywiła. Potem dalej przez sen mówiła: „Lecz Aneczko, zostałaś tylko przy życiu, by nam tem większe zgotować strapienie. Słaba i blada dożyłaś zaledwie lat piętnastu i połączyłaś się z Marynią w rajskich krainach. Ojciec umarł, matka nieżyje! opuszczona jestem od całego świata! Lecz zazłużyłam na to; bo byłam dumną, złośliwą, i próżną, lecz teraz czuję, iż jestem tylko nędzne i ułomne stworzenie; poprawię się, stanę się pokorną i dobrą!"

Przestała mówić. Karzełek dotknął swą małą ręką jej liców. Wyraz boleści ustąpił miłemu uśmiechowi i otworzyła oczy. Spoglądała z niezmiernem podziwieniem na Urszulę i zawołała nakoniec z radością: — O Boże, czy to być może! Aneczko, czy ty wyszłaś z grobu?

— Nie, zawołał jeden z karzełków. — To nie Aneczka lecz Marynia, twoja dawniej stracona siostra. Królowa sów ocaliła ją z paszczy wilka. Dotąd nie wolno ci było znać ją, bo byłaś dumną, złośliwą i próżną, teraz poprawiłaś się, więc dla tego odzyskałaś siostrę.

Obie siostry uściskały się, wylewając łzy radosne. Nie miały wyrazów, by okazać uczucia swego uszczęśliwionego serca.

Karzełki spuściły teraz firanki, kotary, i prosiły hrabianki Pelagii, (bo ona to była szczęśliwą siostrą Urszuli), by się ubrała, bo jeszcze jedna czeka ją niespodzianka.

Gdy się to stalo, wszedł Bogumił. On wiedział już o wszystkiem, lecz jakże zadziwiła się Pelagia, dowiedziawszy się, iż ta przez nią tak pogardzana Urszula, była jej siostrą Maryą. Wyrzucała sobie bardzo, iż nie starała się dawniej zapoznać z Urszulą, mówiąc, iżby ją zapewne była poznała dla jej podobieństwa z zmarłą siostrą.

Wszelka niedola była teraz zapomnianą. Pelagia cieszyła się serdecznie, iż jej siostra była żoną Bogusława, i dziękowała Bogu, że jej nie zostawił bez opieki i pomocy w tem życiu.

Karzełki udały się potem w kącik pokoju, podniosły deskę w podłodze, ukłoniły się na pożegnanie i zniknęły. Słowa dziękczynień towarzyszyły im w podziemne krainy. Potem słychać jeszcze było szelest i sztukanie, nakoniec wszystko umilkło.

Po kilku wesoło spędzonych tygodniach udał się Bogusław z obiema siostrami w odwiedziny do wuja. Przygody małżonków, jako i dziwne znalezienie się obudwóch siostr, zrobiły na nim głębokie wrażenie. Uważał teraz Urszulę jako niewinną męczennicę, i bogosławił chwili, w której się Bogusław z nią poznał.

Niezapominano także o przybranej matce Urszuli. Uważano odtąd starą wieśniaczkę za członka rodziny, a poważana i pielęgnowana przeżyła w domu Bogusława jeszcze szczęśliwych lat wiele. Pelagia i wuj żyli także przy Bogusławie. Miłość i jedność łączyła całą rodzinę i błogosławieństwo niebieskie spoczywało ciągle nad nimi.

(Koniec.)

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

Włożywszy ten dokument w kopertę, zapieczętował ją starannie, i wręczył bankierowi z zastrzeżeniem, iż ma to uważać za rzecz nienaruszalną, i nie oddawać nikomu, tylko właścicielowi do rąk własnych, nigdy zaś na żadne wezwanie pisemne, ktokolwiekby mu je przyniósł.

Bankier przyrzekł zastósować się najzupelniej do jego żądania, poczem udano się do sali jadalnej, gdzie drudzy goście już byli zebrani.

Wychodząc z galeryi, pułkownik szepnął gospodarzowi do ucha:

— A kości?

— Bądź spokojny, upomnę się o nie, — rzekł Miran. — Przybierz wesołą postawę, a nikt nie będzie miał podejrzenia, wszak to równie trudnem dla ciebie nie będzie, jak uśmiechać się, okradając człowieka, którego mienisz twym przyjacielem! — dodał z wyrazem ironii.

Gracz zagryzł usta i nic nie odpowiedział.

Przy końcu śniadania, w czasie którego wino lało się obficie, Indyanin niby przypomniawszy sobie, w jakim to zamiarze zaprosił swych gości, zawołał:

— Ale, ale, moi panowie! jeszcześmy nie rozstrzygnęli mojego zakładu z pułkownikiem Mowbray!

— Jakiż to zakład? — zapytali niektórzy.

— Założyłem się, że strzaskam jednym wystrzałem z pistoletu każdą z tych kości, które nam wczoraj do gry służyły, na wieczorze u lorda Yarmouth. Zdaje mi się, — że masz z sobą kostki milordzie?

Ten wydobył je z kieszeni.

Miran rzekł kilka słów po indyjsku do Khana, który tylko uśmiechnął się zamiast odpowiedzi. Wziął kości, a towarzystwo udało się do galeryi.

Młody Hindustanin, zwykle pełniący służbę przy nakładaniu houka (cybucha perskiego), wezwany został w tej chwili, i bez najmniejszego wachania się, stanął przed tarczą za cel służącą, wyprostowawszy się, wyciągnął rękę,

trzymając między wielkim palcem i wskazującym jedną z nieszczęsnych kości. Pan jego strzelił trzykrotnie, druzgocąc za każdą razą kostkę słoniową.

Goście nie wiedzieli, co mieli bardziej podziwiać, zręczność pana, czy nieustraszoną odwagę sługi.

— Spodziewam się, pułkowniku, że się uznajesz za pokonanego, — rzekł Miran.

— Zupełnie, — odpowiedział gracz, który czuł się spowodowanym podziwiać w duchu nadzwyczajną przebiegłość, z jaką wycofał go Miran z kłopotliwego położenia, — oddaję ci sumę, którą wczoraj wieczór wygrałem od ciebie.

To mówiąc, wręczył Miranowi paczkę banknotów, pochodzących z ostatniego szalbierstwa w grze z Indyaninem. Ten mimo odrazy, bo je uważał jako zbrudzone ręką oszusta, przyjął, by nie wzbudzić uwagi obecnych.

Goście powoli zaczęli się rozchodzić, Mowbray pozostał ostatni.

— Pułkowniku! — rzekł Miran, rzucając mu otrzymane przed chwilą pieniądze, — nie miałem wcale zamiaru pozbawiać cię owoców twego przemysłu. Zachowaj sobie nikczemną zapłatę, dla której sprzedałeś honor i szacunek siebie samego. Bierz, nie wachaj się, człowiecze! — dodał z obelżywą pogardą, — ja zwykłem hojnie płacić!...

— Jakąż to mam ci wyświadczyć przysługę?

— Gdy pora i sposobność nadejdzie, wtedy się dowiesz. Teraz żegnam cię! Użyję cię za narzędzie do mych widoków, ale zaufania mego nie dam!

Zostawszy sam, udał się Miran na drugi koniec galeryi i pozbierał szczątki rozsypane zgruchotanych kostek. Przypatrywał się im uważnie, gdy nadszedł Khan.

— Czy twe podejrzenia potwierdziły się? — zapytał młodzieńca.

— Najzupełniej, — odrzekł ten, pokazując mu otwór maleńki, wywiercony w słoniowej kości i zawierający jeszcze kawałek ołowiu; — kości były poznaczone.

X.

Przybywszy do dworku, Henryk Ashton zastał dzierżawczynię tak pogrążoną w smutku, że poczciwe jego serce przeraziło się tym widokiem. Staruszka siedziała przed kominkiem, kołysząc się w swojem wielkiem, poręczowem krześle; stary gospodarz zdawał się być spokojniejszym od żony; ale twarz jego, zwykle rumiana i czerstwe zdrowie dowodząca, bardzo pobladła; siedział koło stolika, mając oczy w list otwarty, przed nim leżący, wlepione. Bratanek, patrzący na to wszystko przez otwarte drzwi kuchni, (bawialnia tylko w niedzielę i dnie świąteczne do użytku służyła), ujrzał, jak starzec zdjął okulary, by obetrzeć szkła, łzami jego przyćmione.

— Widzisz, master Harry, — rzekł Joe Beans cichem głosem, — tak właśnie, jak powiedziałem, dzieje się w samej rzeczy... Cóż można pisać z tak daleka, by zmartwić poczciwych ludzi?

Na skinienie młodzieńca, Joe odszedł.

— Stryjaszku, co to się stało? — rzekł Harry wchodząc do kuchni.

Na dźwięk tego głosu, gospodyni odjęła spiesznie fartuszek od oczu, którym łzy ocierała, zerwała się z krzesła i rzuciła się na szyję bratankowi.

— Harry! — wyrzekła szlochając, — ty nas nie porzucisz! Prawda, żeśmy ci życia nie dali, ale wszak mój stary był ojcem dla ciebie, a ja, — dodała z nowym wybuchem płaczu, — wiem, żem cię kochała sercem macierzyńskiem.

— Ja miałbym was porzucać? — powtórzył Harry zdziwiony. — Zkąd że wam ta myśl przychodzi? Dla czegożbym was porzucał?

— Prawdziwie że nie wiedziałbym dla czego... Indye, to kraj wspaniały i pełen złota, jak powiadają, ale nie znajdziesz tam nikogo, coby cię lepiej kochał, jak my, a co się tyczy majątku, wszakże folwark z całym inwentarzem, wszystkie nasze ruchomości, to wszystko dla ciebie Harry, cały owoc pracy naszej, wszystko będzie twoje!

Widząc, że niepodobna mu będzie otrzymać od stryjenki wyjaśnienia tego, co się zdarzyło, bo jej rozpacz na myśl utraty wychowanka przytłumiła wszelką zdolność pojmowania czego od niej żądano, Henryk spojrzał na list, który Maciej Ashton wraz z okularami położył na stole.

— To list od Filipa! — rzekł starzec.

— Od mego ojca?

— Zdaje się, że sobie naraz przypomniał, że ma syna i brata. Jest teraz bogatym, jak się domyślać każe. Daj Boże, aby ten majątek był także uczciwie zarobiony! Pisze, abyś do

niego przyjechał do Indyi; obiecuje zrobić z ciebie gentlemana, i... ale to, czytaj sam Harry, i osądź, co ci uczynić wypadnie.

Drżącą ręką, syn od dawna opuszczony, wziął pismo ojca, i zaczął czytać chciwie każdy wyraz. Na początku było dość zimne podziękowanie dla brata za długoletnią opiekę nad synowcem; donosił dalej, że długi czas zostawał w służbie jednego z władzców indyjskich, i przyszedłszy do majątku, wzywał syna, chcąc mu tam stósowne zapewnić stanowisko. List kończył się pobieżnym opisem wspaniałej krainy, która otwierała obszerne pole dla młodego człowieka z bujną i ognistą wyobraźnią i silną wolą, chciwą czynu i wrażeń gwałtownych.

W dopisku załączonem było zawiadomienie, iż kwota wynosząca pięćset funtów szterlingów, złożona w banku braci Grant, przy ulicy Lombard-Street w Londynie, na wyekwipowanie i podróż Henryka, wydaną mu będzie, skoro się po takową osobiście stawi.

— I oto wszystko! — zawołał młodzieniec z westchnieniem. Ani wiersza, ani słowa jednego do mnie?

Pani Ashton rzuciła błagalne spojrzenia na męża, ale ten pozostał niezachwiany w swojem postanowieniu. Jakkolwiek miłość jego dla bratanka była niezmierną, cokolwiek by go to kosztować miało, nie chciał go oszukiwać. List drugi był załączony; żona prosiła, aby go zataił, czuła bowiem, że dumne i tkliwe serce Henryka dozna oburzenia na ten pozorny dowód zapoznania ze strony ojca, który przez tak długi czas zachowywał milczenie.

— Harry, — rzekł mu stryj, — jest jeszcze drugie pismo.

— Czy do mnie?

— Do ciebie! — odpowiedział, — wręczając mu list starannie zapieczętowany. — Żono! — rzekł potem do starej towarzyszki życia swojego, — spełniliśmy powinność naszą, a to przekonanie niech naszą pociechę stanowi, gdyby nawet nasza starość osamotnioną być miała, gdyby nawet nie został nikt przy nas, by nam zamknąć powieki, i na cmentarz obcy tylko ludzie odprowadzić mieli nasze zwłoki!

— Stryju! drogi mój stryju! — wymówił młodzieniec, ściskając ręce starca, — nie obcy was powiedzie do grobu, chyba że ja sam wprzód w grób się położę! Nie możesz sądzić, abym niewdzięcznością odpłacił wam wasze dobrodziejstwa!

— To nie dobrodziejstwa, to przywiązanie, Harry! to miłość najtkliwszą okazywaliśmy ku tobie! Mąż mój i ja skarżyliśmy się przedtem, patrząc na mnożący się dobytek, na urodzaj w polu, że nie mamy dzieci, dla których pracować i oszczędzać miło. Tyś nam przybył, i odtąd już nie mieliśmy tej troski, komu się dostanie mienie nasze po zgonie.

— Byliście dla mnie istotnie ojcem i matką, — odpowiedział synowiec, i macie zupełne prawo wymagać odemnie posłuszeństwa i obowiązków synowskich. Bądźcie przekonani, że to nie bogactwa ojca mojego skłoniliby mnie do porzucenia was, ale tylko nadzieja chlubnego odznaczenia się w świecie, zrobienia sobie stanowiska, imienia zaszczytnego... Lepiej będzie, rzecze potem, spojrzawszy na pismo, że sam to sobie przeczytam.

To życzenie nie zawierało nic dziwnego, a przytem obejście się Henryka względem staruszków tak było czułe i serdeczne, że nie mogli nic zarzucić temu naturalnemu żądaniu. Powiedziawszy mu dobra noc, pożegnali go odchodząc ze ściśnionem sercem do izby sypialnej.

— Stary jest bogatszy, niż sobie ludzie wyobrażają, — szepnęła kobiecina, gdy ją Harry po zmarszczonych policzkach całował, — a to wszystko co ma, będzie dla ciebie!

— Przywiązanie droższem jest niż złoto, kochana stryjenko, — odrzekł młodzieniec z westchnieniem głębokiem.

— Masz słuszność, Harry, — powiedział stryj, dosłyszawszy dyplomatycznego zwierzania swej połowicy, również jak i odpowiedzi swego przybranego syna, — dobrze mówisz, mój chłopcze! trudno mi kochać cię jeszcze więcej, ale ta myśl szlachetna zasługuje na mój szacunek.

Gdy Harry poszedł do swojej izdebki, starzec dodał:

— Coś mi się zdaje, że nasz chłopiec nie zechce nas porzucić; on taki dobry, tak wdzięczny i przywiązany ku nam!

— Nie znasz go Macieju! — rzekła staruszka z płaczem.

— Ja miałbym go nie znać? — powtórzył gospodarz.

— Nie, tyś go tak nie zbadał na wskroś jak ja. Jeszcze będąc dzieckiem, okazywał nam

zawsze więcej tkliwości i przywiązania, ilekroć nas obraził lub zasmucił.

— Przecież nie mówił, że pojedzie?

— To prawda, ale nie przyrzekł zostać. Ach! gdyby to był powiedział, czułabym się zaspokojoną. Macieju! Macieju! dla czego żeś oddał dziecku list ojca?

— Właśnie dla tego, że to od ojca. Byłoby to boleśnie w naszym wieku, gdybyśmy nie śmieli spojrzeć w oczy biednemu chłopakowi. Wszak on nas nigdy nie oszukiwał.

— Ach! prawda i to.

— No, matko, osusz łzy twoje!... Henry tem więcej nas kochać będzie, widząc nas godnych poszanowania i wiary.

Po tych słowach zacny gospodarz i żona jego udali się na spoczynek; ale sen nie skleił ich powiek. Każde z nich oczekiwało troskliwie rozstrzygającego ranku. List Filipa Ashton do syna, którego przez tyle lat nie widział, z dziwną przebiegłością był napisany. Przytaczał w nim wszelkie wnioski, mogące wpłynąć zachęcająco na umysł młody i pełen zapału, który nie mając sposobności rozwinąć całą siłę swej woli, nuży się w bezczynnej samotności. Obiecywał majątek, stanowisko, sposoby odznaczenia się i wsławienia, przedstawiał nareszcie łatwość pozyskania zaszczytów i bogactw w kraju ulegającym częstym najazdom nieprzyjaciół, i kończył świetnem opisaniem rozkosznej i żyznej Indyi.

Ale wyrazów serdecznych trudno było dopatrzeć w tem piśmie, tak zimnem i wyrachowanem, nie było tam tego wezbranego uczucia ojcowskiego, tego żywego pragnienia, jak najprędzej uściskać syna od dawna niewidzianego... a biedny Henry boleśnie tknięty był tą oziębłością.

— Mój Boże! — zawołał i westchnął smutnie, opuszczając z rąk pismo, — możeż to być, aby mój ojciec istotnie tak do mnie pisał?

Rozpoczął czytać powtórnie, zastanawiając się nad każdym wyrazem; ale nie mógł nic znaleźć, coby potrafiło serce jego zaspokoić. Obiecywano może aż nadto dla pobudzenia jego ambicyi, ale nic, coby do serca przemawiało czułego. Mimo wrodzonej sobie mocy charakteru, rozpłakał się młodzian, i myśl bolesna w nim powstała, na którą oburzały się jego szlachetniejsze uczucia.

— Zdawałoby się, — szepnął w duchu, — że mój ojciec ma jakiś zamiar do spełnienia, że chce mnie użyć do czegoś, jako potrzebne narzędzie, i dla tego wzywa mnie do Indyi, nie zaś aby mnie swą miłością i błogosławieństwem ojcowskiem obdarzyć!

W tem rozumowaniu młodzieńca było istotnie więcej prawdy, niż się domyśliwał tego.

Pomimo to jednak, list ten silne na nim zrobił wrażenie; nie mógł bowiem Henryk sam przed sobą utaić tego przekonania, że był dumny, chciwy wyniesienia, i że często i od dawna już skrycie ubolewał nad tem, że go los w tak niskim umieścił stanie. Raz zamierzał przyjąć to spóźnione wezwanie ojcowskie, to znowu chciał je odepchnąć. Obraz Elleny, nadzieja pozyskania stanowiska, któreby jej godnem było, sławę, którąby jego imię uświetniła, stanęły w jego wyobraźni. Gdyby mógł wiedzieć, że miłość jego odwzajemnioną będzie, byłby gotów znieść wszelkie przeciwności, narazić się na najgroźniejsze niebezpieczeństwa, za jakąś iskrę nadziei, pozyskania ręki uwielbianej dziewicy; ale obawa długich lat rozstania się z nią, w czasie których mógłby zostać od niej zapomnianym, zachwiała jego postanowieniem.

— To dziwne, — rzekł sam do siebie, — żeśmy dziś wieczór tak wiele o Indyach z sobą mówili.

Po długiem wachaniu się między najsprzeczniejszemi pomysłami, postanowił nareszcie zobaczyć się z sir Williamem następnego poranku. Cenił wysoko mądrość i rady baroneta, a zarazem zdawało mu się, iż ze sposobu zachowania się Elleny względem niego, gdy się dowie o treści listu jego ojca i wzywaniu go do Indyi, będzie mógł wnioskować, jakie są jej uczucia dla niego.

— Jeżeli podszepty mego serca prawdę mi mówią, jeżeli jestem kochany od jedynej istoty, którąby mnie uszczęśliwić mogła, obietnice mego ojca mogą się urzeczywistnić, usiłowania moje i nadzieje będą mieć cel jakiś. W przeciwnym razie, (a na tę myśl krew ścinała się w jego żyłach), będę potrzebował silnych wzruszeń i walki wśród przygód, aby przytłumić gorycz z doznanego zawiedzenia najsłodszych urojeń. Na każdy więc przypadek będę musiał wyjechać do Indyi!

Przepędziwszy noc bezsennie, Henry Ashton wstał bardzo wcześnie. Gospodarz i żona jego jeszcze nie dawali się słyszeć. Lękał się uledz

ich namowom. Pospieszył do stajni osiodłać swojego rumaka, aby się udać na śniadanie do rektora, a następnie pojechać do zamku.

Kiedy się zabierał do rannej wycieczki, Joe Beans, niegdyś jego towarzysz i powiernik, ukazał się w stajni.

— Rychło dziś wstałeś, master Harry! — rzekł odsuwając z czoła, niby na znak powitania, kędziory jasnych, jak len włosów, które mu aż na oczy spadały.

— Tak jest, mój dobry Joe; źle spałem i sądzę, że mała przejażdżka konna mnie orzeźwi.

— Ja wcale nie mogłem usnąć.

Henry spojrzał zdziwiony na poczciwego parobczaka. — Cóż to takiego, — pomyślał, — mogło sen odjąć chłopakowi, chyba silna niestrawność.

— Czyś chory? — zapytał go z uprzejmem współczuciem.

— Śmiertelnie! — odrzekł Joe, dotykając piersi swą szeroką dłonią, — ale na tę chorobę lekarze nie znajdą środka, bo moje cierpienie jest tutaj. Chcesz nas porzucić, paniczu?

— Któż ci to powiedział?

— Jejmość mówiła wczoraj staremu, że twój ojciec wzywa cię do Indyi; ale nie jedź, paniczu; serce by pękło staremu z żalu za tobą, a i cóżbyśmy poczęli bez ciebie, ogierek i ja?

Ta ostatnia uwaga przywiązanego sługi wywołała mimowolny uśmiech na usta Henryka.

— Mógłbym był dostać służbę gajowego u esquire Harwey'a, — mówił dalej Joe, — ale nie miałem chęci opuszczać folwarku waszego; lecz go porzucę, jak pojedziesz.

— A to dla czego?

— Dla czego? wszak razem płataliśmy figle i swawole, choć ja starszy od ciebie; tyś zawsze dobry był dla mnie. Kiedy więc ty jedziesz w obce kraje, to i ja muszę tam jechać.

— Ty?

— Zapewne! czyliżeśmy nie polowali razem na dzikie kaczki i bekasy, czyliż nie zastawialiśmy sideł na króliki? Cóżbym ja tu sam począł, gdybyś ty odjechał?

— A Zuzanna?

Tak się nazywała ładna dziewczyna, do której biedny chłopak czule wzdychał od dawna.

— Nic to nie przeszkadza, ja o niej nie zapomniałem! ona poczeka na mnie, aż powrócimy obydwa z Indyi! — odpowiedział Joe Beans z wyrazem niezmiennego postanowienia.

— Jeżeli opuszczę Anglię, — rzekł Henry, ujęty tą wiernością Joego, — wezmę cię z sobą.

— Dajże mi rękę na to!

Henryk podał mu rękę, którą parobczak uścisnął tak mocno, że palce Henryka długo jeszcze zachowały znaki poczciwego uścisku. Po małej chwili nasz młody bohater, przedmiot tylu życzliwych uczuć i przychylnej troskliwości, spiąwszy ostrogą swego wierzchowca, puścił się szybkim kłusem drogą do plebanii.

XI.

Zacny doktor Orine siedział właśnie przy śniadaniu, gdy nadjechał jego wychowanek. Od czasu, jak Henryk zaczął bywać w zamku, tak go rzadko widywał u siebie, że zaczynał go posądzać o zapomnienie i myślał już robić mu wyrzuty; ale wszelkie uczucie gniewu ustąpiło z jego serca na widok młodzieńca, wchodzącego do pokoju, z twarzą ożywioną wskutek szybkiego ruchu, i wypytującego się z zajęciem o zdrowie ukochanego mistrza. W obejściu młodego człowieka nie było niewolniczej pokory i nieśmiałości, ale przebijało się przywiązanie najszczersze, jakby dla ojca i w pewnem znaczeniu, rektor był niby ojcem dla niego, bo go wyswobodził z niewoli ciemnoty i nieuctwa, a dał mu życie duchowe, rozwijając jego pojęcia i zdolności umysłu.

— Witajże mi Henry! — zawołał, uśmiechając się życzliwie do przybyłego, — cieszy mnie to, żeś jeszcze nie zapomniał drogi do plebanii.

— Zapomniał!... — powtórzył Henryk, — choćbym ociemniał, nie potrzebowałbym przewodnika, aby tu trafić, serce by mnie kierowało. Byłbym jeszcze wczoraj wieczór przyszedł, ale spóźniona pora wstrzymała mnie od tego. Spotkało mnie coś takiego, gdzie pańskiej rady zasięgnąć pragnę...

— A wiem już, wiem!...

— Pan wiesz?...

— Niezawodnie. Ta sama trudność i mnie przytrafiła się niegdyś; ale wprzód zjedz śniadanie, będziemy potem w bibliotece o tem rozprawiać.

Henryk Ashton nie wiedział co o tem myśleć; nie mógł pojąć, jakim sposobem jego uczony przyjaciel wiedzieć mógł o treści jego listu, który od chwili rozpieczętowania miał ciągle przy sobie.

— Musiał się już widzieć ze stryjem, — pomyślał, potem zapytał głośno:

— Czy mój stryj był tutaj?

— Twój stryj? — powtórzył rektor ze zdziwieniem. — Nie Harry... już temu kilka tygodni, jak nie widziałem się z poczciwym starcem. Ale dla czegoż mnie o to zapytujesz?

— Myślałem, że to on panu wspomniał o moim kłopocie.

Teraz znów doktor Orine nie mógł pojąć o co idzie; ostatnie wyrazy Henryka zbiły go zupełnie z tropu... Nie dawno bowiem czytał z swym uczniem wyjątki z komedyi Arystofana (Obłoki), wyobrażał sobie więc, że młodzieniec przyszedł naradzić się go względem tych zawiłych trudności, które młodzież napotyka na każdej prawie stronicy w pisemku tego poety.

— Maciej Ashton miałby ze mną mówić o twojem zakłopotaniu! — zawołał. — Żartujesz Henry. Wątpię nawet, czy poczciwy twój stryj spamiętałby nazwisko naszego autora.

Młody Ashton poznał mylkę rektora; ale postanowił sobie nie przystąpić do rzeczy pierwej, aż po śniadaniu, które szczęściem dla jego niecierpliwości, wkrótce się skończyło.

— Czyś z sobą przyniósł książkę? — zapytał rektor Orine, kiedy usiedli w bibliotece.

— Kartka, którą przynoszę do przeczytania, szanowny mój mistrzu, jest dziełem żyjącego, a nie zmarłego pisarza. Jest to list od mojego ojca.

— List od twojego ojca? — zapytał powoli, z wyrazem najwyższego zdziwienia.

Zacny rektor od wielu lat tak przywykł uważać Henryka, jakby własnego syna, że zapomniał prawie zupełnie o tem, aby chłopak ten miał innych krewnych, prócz dzierżawcy i jego, którzy go oba z całem ojcowskiem przywiązaniem kochali.

— Przeczytaj go, drogi panie, a potem udziel mi swojej rady. Przekonasz się, co mi przyobiecuje zdolnego pochlebiać widokom dumy, jak obszerne pole otwiera niespokojnym żądzom serca znużonego brakiem działalności; ale niestety! jak brak wszelkiej oznaki serdecznej, stęsknionej miłości ojcowskiej!

Uczony mistrz młodego Ashtona, przeczytał kilkakrotnie pismo, nim je oddał Henrykowi. Księgi nie były bowiem wyłącznie przedmiotem jego badań w życiu; za młodu podróżował wiele, zwiedził i poznał świat i nauczył się czytać w jednej z najtrudniejszych do zrozumienia książek, to jest w książce serca ludzkiego. Dla tego też brak zupełny uczucia w piśmie ojca, pozbawionego przez tak długi czas widoku syna, zdziwił go i raził niezmiernie. Po chwili zastanowienia odezwał się, przerywając milczenie, w jakiem byli pogrążeni.

— Henry, jak większość ludzi żyjących długo w zaciszu zdala od silnych wzruszeń i działalności, stałem się trochę samolubnym; nie myślę jednak, by moja chęć i uczucia zdolne były stawić przeszkodę, gdyby szło o dopełnienie istotnej powinności. Gdyby ten list zawierał jedno słowo przywiązania, jedno wyrażenie się ojcowskiego serca, powiedziałbym ci: Idź, nawet wtedy, gdyby cię tam czekało istnienie nędzne i nieznane. Ale tutaj... wacham się, co ci radzić.

— Zapominasz pan, że mnie ojciec nie widział od lat dziecięcych.

— O, wcale o tem nie zapomniałem, ani też i o tem, że przez lat szesnaście ani razu o ciebie nie spytał. Musi to być coś więcej, jak łączący was węzeł pokrewieństwa, co go spowodowało do tego nagłego wezwania cię do siebie.

— On jest wojskowym! — rzekł znowu Henryk, usiłując sam przed sobą wytłumaczyć tę obojętność ojca, tak widoczną w jego piśmie.

— Puch, który otacza pierś sępa, jest równie miękki dla młodych piskląt, jeszcze nie porosłych w pierze, jak u piersi leśnego gołębia. Ale to nie tylko ta oziębłość jest mi niepojętą i dziwnie rażącą w tym liście.

— A cóż więcej jeszcze?

— Jego przebiegłość, że się tak wyrazić ośmielę. Pisząc ten list, przedstawił wszystko, co zdoła obudzić żądze umysłu ognistego, w takim marzycielu, jakim ty jesteś. Możnaby mniemać, że jesteś narzędziem, którego potrzebuje, a nie synem, którego uściskać pragnie.

Henryk westchnął; nie miał bowiem co odpowiedzieć na ten zarzut, wszak i on już pierwej to samo uczynił spostrzeżenie.

— To więc, — ciągnął dalej rektor, — jest jedno, co mnie zastanawia. Powtóre, jakim sposobem twój ojciec domyślać się może, że go zrozumieć jesteś w stanie, chyba że cię już widział niedawno?

— To niepodobna! wszak on w Indyach przebywa.

— Musiał otrzymać wiadomości od ciebie.

— Nigdy nie pisałem do niego ani słowa; wczoraj jeszcze, przed nadejściem tego listu, nie miałem pewności, czy żyje dotąd, ani gdzie się znajduje.

— Bądź pewny, kochane dziecię, że musiał jakiemu przyjacielowi swojemu polecić, by o tobie zasięgnął dokładnych wiadomości, i że istotnie pochlebne otrzymał zdanie. Jakże bowiem miałby przypuszczać, że twój stryj, choć tak dobry i wspaniałomyślny, udzielił ci wykształcenia, wyższego znacznie, niż sam posiada?

Ta uwaga zastanowiła młodzieńca, i wiele mu dała do myślenia...

— Czy pewny jesteś, mój chłopcze drogi, że to wezwanie do Indyi istotnie od ojca twego pochodzi?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z ŻYCIA ZWIERZĘCEGO.

Sojka choć zimuje w Polsce, według mniemania ludu ukraińskiego odlatuje także co roku do wyraju, lecz prawie zupełnie nic ulecieć nie może, ponieważ ulecia[wszy] jeden dzień, nazajutrz obaczyć musi, jak daleko [od]leciała i przeto znowu powraca. Tak lata tam i napo[wrót], dopóty, dopóki śnieg nie spadnie; dla tego też mó[wią] na tego który niedaleko zaszedł: „posuwa się jak so[jk]a ku morzu!"

Ja-kółkę uważają za zwia-tuna szczęścia, dla tego strzegą jej gniazda i uważają, by jej nic złego nie zrobiono; mniemają bowiem, że jaskółka mści się za zburzenie gniazda tem, iż podlatuje pod krowy, przez co te dostają niejaki czas mleko jak krew czerwone. Podanie to, zupełnie pozbawione prawdy, rozszerzyło się i w Niemczech. — Jest też mniemanie, że jaskółka nie odlatuje do ciepłych krajów, lecz pokutuje u nas w zimie za jakieś uchybienie, zamarzając pod wodą. To też jak sądzą, na wiosnę wyciągać można całe gromady jaskółek połączonych z sobą nogami. Skoro jednak ogrzeje je słonko wiosenne a lód puszcza, pojawiają się znowu. — Podług wieści litewskich, jaskółka jest przemienioną królową, która w ten sposób ukaraną została za głoszenie fałszywych wieści. — Lot jaskółek należy do oznak, podług których lud odgaduje pogodę lub słotę; a u ludów germańskich jaskółka była powodem do licznych przysłów i zwyczajów.

Skowronki są ptakami wiosennemi. Ażeby je zwabić, pieką Ukraińczycy w przeddzień święta 40-tu męczenników — małe ptaszki z ciasta, w postaci skowronków. Skoro dzień oczekiwany (10 marca) nadejdzie, starcy, młodzi, mężczyźni, kobiety i dzieci różnych stanów wychodzą w pole, rzucają je w górę z okrzykiem: „Przylećcie skowronki, przynieście nam wiosnę a srogą usuńcie zimę." — Mniemanie ludu, jakoby skowronki zimowały stretwiałe pod lodem, jest bajką.

O pawiu sądzą Ukraińczycy, że stoi w bliskim związku z czartem. Jako przyczynę brzydszego upierzenia samiczki pawia od samca, opowiadają następującą bajkę: Pewnej nocy chciała polecieć samiczka na czarodziejską górę i nakłoniła do tego swego małżonka. Omalowała go szafirem, do głowy przypięła pyszny pióropusz, w skrzydła wetknęła mu czerwone pióra, sporządziła śliczny ogon, słowem: ubrała go jak mogła najpiękniej. Kiedy się z tem uporała, przyszła kolej na samca, który też miał swą małżonkę podobnież wystroić; czynił to pomału, że zanim przystąpił do przypięcia czuba swej połowicy, kur zapiał, moc czarnoksięzka upadła a samiczka pozostała na zawsze pozbawioną tych ozdób, co samiec.

Wróble uchodzą w Rosyi za przeklęte ptaki. Miały one przynieść gwoździe do ukrzyżowania Chrystusa Pana, przez co za karę muszą nosić na nogach niewidzialne okowy; dla tego też nigdy nie łażą, lecz skaczą. Mają sprowadzać nieszczęście do domu. — Na Ukrainie sądzą, że wróble dłużne są czartowi dziesięcinę i dla tego w dzień św. Szymona ze wsi uciekają do lasu, ponieważ wtedy nastają ciemne burzliwe noce z ulewą, w których czart dług swój odbiera. Mierzy on wszystkie wróble korcem, wsypując je z góry, potem gładzi ręką po wierzchu; wróble których czubki z miary wystają, bywają wyrzucane na ziemię i żyją, reszta ginie. Ocalone ćwierkają wtedy wesoło, pytając siebie: żyjesz jeszcze? żyjesz jeszcze?

O kopciuszku mówią górale, że w innej barwie przylatuje, jednak barwę tę w Polsce traci. Ma ona bowiem czernieć od dymu. O pliszce jest mniemanie, jakoby na grzbiecie bociana do nas przybywała. Jestto bajką. O dzierzbach, tych drapieżcach między śpiewakami, utrzymywano mylnie, iż nie jedzą, dopóki nie osadzą na cierniach 9 ciu ofiar. Gąsiorek ma głos dość przyjemny, ztąd ludowe mniemanie, iż zwabia drobne ptaszęta dla pożarcia. Gniazda sikory remiz słynęły niegdyś w Europie jako środek lekarski i od piorunów chroniący, a lubo dziś żaden człowiek rozsądny nie wierzy w ten zabobon, wszelako dla badaczy przyrody są i będą one zawsze przedmiotem godnym podziwienia. — Lud ze śpiewu lub milczenia zięby odgaduje pogodę, lub słotę. — Lejek kozodój upędzając za owadami, zbliża się także do obór i stajen, zkąd od dawna urosło u ludu mniemanie, jakoby podobnie jak węże, wysysał nocami mleko kozom i krowom. Temu też mniemaniu zawdzięcza kozodój swą nazwę. Mniemanie ludowe, jakoby słomki i dubelty zimowały w otrętwieniu w liściach lub dziupłach jest niewątpliwie bajką.